

Kandydat bezwzględnie najlepszy i jedyny. Na Konwiktorskiej po latach zniewolenia, jednak nie do końca można było zerwać z przeszłością. Najgorsze miało, ale system trwał. Podjęto uchwałę o kontynuowaniu współpracy z zrzeszeniem, a później federacją „Kolejarz”.

Polonia Warszawa nie była pierwszym klubem w Polsce, który rozerwał odrażający gorset sportowego totalitaryzmu. Kilka dni wcześniej uczyniła to Warta Poznań, nieco później Legia. Ale wszędzie entuzjazm był taki sam. I nadzieja... W Poznaniu sporą rolę w przemianach odegrał eksreprezentant Polski, a wtedy jeden z naszych najwybitniejszych trenerów – Michał Matyas. Z niejednego pieca jadł chleb. Był doświadczony i kompetentny. Miał biznesowy rodowód. Jako były kapitalista z branży naftowej znał prawa wolnego rynku i wagę swobód obywatelskich. W kawiarence zakładów Hipolita Cegielskiego z pasją przekonywał mnie o konieczności wprowadzenia u nas – i to od zaraz – piłkarstwa kontraktowego.

... „Jeżeli zawodnik będzie wiedział, że za występ na boisku otrzyma taką samą zapłatę, jak za pracę w fabryce, wówczas dołoży wszelkich starań, by jak najlepiej wywiązać się ze swoich zadań i pod wpływem stale narastającej konkurencji nie stracić posady...”

Mniej więcej do połowy 1956 roku temat ten był w Polsce zakazany, a jeśli już się pojawił, to w ujęciu pejoratywnym. Tymczasem podczas wizyty w Polsce RC Lens, nasz wtedy 19-letni rodak Marian Wiśniewski, na pytanie, co go zmusiło w tak młodym wieku do podjęcia zawodu piłkarza, odpowiedział szczerze i otwarcie:

– „Jestem już dorosły i piłkarsko na tyle dobrze wyszkolony, że mogę czerpać z tego określone korzyści. Tak, to mój zawód...”

Rozmówca oczekiwał zgoła innej odpowiedzi – przedstawiającej profesjonalizm w złym świetle. Jak można zarabiać na grze w piłkę nożną?! Nawet ciot-

ka Mariana, którą wówczas odwiedził, nieświadoma sprawy – również nie bardzo się orientowała.

– To ty Marianku, to wszystko, co masz, zarobiłeś na tym swoim kopaniu piłki?

Zdziwiony Wiśniewski tylko spokojnie przytakiwał głową:

– Ależ tak, ciociu... W kopalni było by mi trudniej się wybić i odpowiednio się urządzać. Mam smykałkę do gry w piłkę nożną, więc chętnie się z nią bawiam. Piłkarz? Zawód jak każdy inny, tylko znacznie przyjemniejszy. To teatr na świeżym powietrzu!

W połowie lat pięćdziesiątych ze zdumieniem i z niezrozumieniem przyjmowano to wyznanie: - „*Zawód jak każdy inny*” ... W „Przeglądzie Sportowym” też długo na ten temat dyskutowaliśmy, zwłaszcza w pokoju „piłkarzy”. Programowo byliśmy „za”. Jeśli my, dziennikarze sportowi, zarabiamy na życie opisując talenty, pracę na treningach i często nieustępliwą walkę kopiających piłkę, to dlaczego twórców tego widowiska pozbawiamy możliwości korzystania z podobnych przywilejów? Jeśli przy każdej okazji mówimy, że futbol jest największym teatrem XX wieku, to dlaczego występujących w nim aktorów traktujemy jak hobbystów, a nie profesjonalistów?

Problemu zawodowstwa czy choćby piłkarstwa kontraktowego, nie poruszono jednak na głośnej w 1956 roku konferencji SPN GKKF z udziałem Pawła Procka. To nie była wtedy sprawa najważniejsza i właściwie rozumiana. W kuluarach, owszem – nawet dość głośno o tym mówiono, ale w konwencji „raka, który toczy nasz futbol” („tajne zawodowstwo”). Na forum publicznym – milczano. Dopiero „Przegląd Sportowy” piórem swojego naczelnego Edwarda Strzeleckiego, w artykule „NIE TAKI DIABEŁ STRASZNY”, jednoznacznie wypowiedział się za jawnym wynagradzaniem piłkarzy za grę.

... „Nie jest zasadą – pisał – że sport zawodowy nie szanuje reguł szlachetnego, uczciwego współzawodnictwa, że w walce zawodowców stosuje się tylko

niedozwolone chwytły, że wyniki spotkań są fabrykowane, że zawodowcem powoduje tylko chęć zysku, że nie ma on żadnych sportowych ambicji i chęci udowodnienia swojej wyższości. Wiele jest dowodów na to, że przeciwnie – sportowców zawodowych cechuje wysoka moralność... Mają oni oczywiście świadomość, że za pracę w sporcie dostaną pieniądze, ale motorem ich działania jest także poczucie godności, pragnienie wybitcia się, zasłużenia na ludzkie uznanie i wdzięczność”.

„Przegląd Sportowy”, jego kierownictwo i poszczególni dziennikarze, taka jest powinność tego zawodu, jeszcze nie raz wyrażali swoje opinie o różnych złych stronach i ułomnych formach funkcjonowania sportu w warunkach „budowania podstaw socjalizmu”. Uwagi te przyjmowano krytycznie, często z oburzeniem. W ślad za tym co jakiś czas pojawiały się informacje, że lada dzień nastąpi zmiana kierownictwa pisma. Redaktorowi Strzeleckiemu przepowiadano to najczęściej, bo z jednej strony chętnych na tę posadę było wielu, a z drugiej – Edwarda traktowano jako potencjalnego wroga polskich entuzjastów chińskiej „rewolucji kulturalnej”. Ostatecznie naczelny przetrwał do stycznia 1970 roku, choć już po „wydarzeniach marcowych” w 1968 krajowi hungwejbini szykowali dla niego dziennikarską szubienicę. Schyłkowy okres rządów Gomułki charakteryzował się nie tylko polowaniem na syjonistów. Szalała „czerwona gwardia” organizacji młodzieżowych.

Na razie wciąż jesteśmy na początku 1957 roku. W „październikowym klimacie” odrodziły się polskie związki sportowe. Pod tradycyjnymi nazwami działały już prawie wszystkie polskie kluby. Na Łazienkowskiej największą aktywność przejawiali członkowie sekcji piłkarskiej. W sobotę, 26 stycznia głośno o swoje prawa upomniała się historia. Legionowymi sztandarami znowu powiewali seniorzy: dr Stanisław Mielech, Józef Ziemiański, Franciszek Cebulak, Ryszard Łysakowski, Józef Ciszewski, Edward Drabiński i Henryk Serafin. Wtórowali im współcześnie: Edmund Zientara, Henryk Grzybowski, Jerzy Woźniak i spora grupka

juniorów. Złożyli oświadczenie, że już na zawsze pozostaną wierni nazwie WKS Legia. Prezesem sekcji został płk dr Henryk Noworyta, a jego zastępcami Alfred Nowakowski i Józef Ziemian.

Panu Ziemianowi muszę poświęcić kilka szczególnie ciepłych słów. Niegdyś w parze z Henrykiem Martyną był podporą Legii, gdy określano ją jako drużynę „fochów i nastrojów”. Zaraz po wojnie wraz z przyjaciółmi z gruzów podniósł stołeczne piłkarstwo. „**Ja kocham Legię**” – tak dziś na Łazienkowskiej śpiewają kibice. Ziemian kochał ją już w latach trzydziestych i zawsze był jej wierny. Jak ojciec, dbał o młodych piłkarzy, zwłaszcza tych powoływanych do wojska. Mieszkali w barakach. Aniołkami nie byli. Krążyły o nich legendy przerastające ludzką wyobraźnię. Sporo pili, ale rzadko zakąszali. Radzili sobie nietypowo. Zabawiali się w rakarzy, łapali psy i tak, jak to do dziś robią w Korei, przerabiali na gorące potrawy. Najsprytniejszy w tym niehumanitarnym procederze (sam mi o tym opowiadał) był Tadeusz Waśko. Raz nawet porwał pieska żony ówczesnego dygnitarza sportowego, Tomasza Lemparta.

– Droga pani – zagał – psina nerwowo kręci ogonkiem, zapewne chce siku. Szanowna pozwoli, odprowadzę jamniczka na stronę, niech sobie ulży. Znam tu każdy krzaczek, zaraz wracam...

Nie wrócił. Psa stopiono na smalec. Jednak w Legii drugiej połowy lat czterdziestych, zwanej potocznie lwowsko-krakowską, największym kłopotem był brak mieszkań. Młodzi w barakach jakoś sobie radzili, tymczasem kapitan zespołu Kazimierz Górski z żoną Marysią przy ulicy Dmochowskiego gnieździł się w niewielkiej klitce z dziurami w suficie i mokrymi ścianami. Górski już był bliiski przejścia do Syreny, dostał nawet jak na tamte czasy wprost luksusowe mieszkanie na Lesznie, ale z Legii nie odszedł. W tej sytuacji najpóźniej po upływie roku musiałby opuścić służbową kwaterę. Wtedy właśnie do akcji wkroczył pan Ziemian. Uwielbiał Kazia:

– Koniecznie chciałem go zatrzymać, był moim pupilem – opowiadał po latach. – Zresztą, nie tylko Kazia, także Skromnego, Sąsiadka, Serafina... Państwo Kucharowie i Walek Kisieliński też nie mieli gdzie mieszkać. Wpadłem więc na pomysł zbudowania klubowej bursy...

Było to w czasach, kiedy na ulicach Warszawy słyszało się złośliwe przyspiewki:

Zbudują za sto latek  
Dla wnuków i dla dziatek  
A życie z winy BOS-a  
Przejdzie nam koło nosa.

Biuro Odbudowy Stolicy miało decydujący głos w opiniowaniu społecznych inicjatyw i próśb obywateli chętnych do indywidualnej naprawy zburzonych domów. Józef Ziemiański uzyskał na to zgodę dość szybko. I wziął się do dzieła. Przy zbiegu ulic Łazienkowskiej i Czerniakowskiej, dziś jest tam sztuczne lodowisko Torwar, wykupił jakąś zburzoną chałupę, kazał ją wyremontować i tak powstała legionowa bursa. Bywałem w niej dość często. Z dala rzucała się w oczy czerwona cegła, a w górze, na dachu – błyszcząca blacha. Klubowi lokatorzy żartowali, że teraz będą mieszkać w „Pałacu pod Blachą”. I aby to miało odpowiedni wydźwięk historyczny nazwali darczyńcę Ziemiańskiego „księciem Józefem”... Mieszkania skromne, bez wygód, niewielkie, ale nawet w jednym małym pokoiku państwo Górscy czuli się jak u Pana Boga za piecem. Przyjmowali nawet gości, rzecz zrozumiała głównie tych z „Pałacu księcia Ziemiańskiego”.

W roku 1957 pan Józef, nieskromnie powiem, że i mnie okazywał jakąś cząsteczkę ciepła swojego serca, starał się jak tylko potrafił, aby nie dopuścić do rozpadu Legii. Najbardziej zależało mu na Brychczym. To był jego drugi idol po Górskim. Wiercił więc dziury w brzuchu ojcu Lucka, żonie i samemu piłkarzowi:

– Nie róbcie głupstw! Zostańcie!...

Ziemią, z tego co wiem., przemawiał nie tylko do rozsądku, lecz także do kieszeni. Jego wysiłki gorąco popierał trener Koncewicz.

– Szymkowiaka, Kowala i Pohla – ubolewał – już nie da się zatrzymać w Legii, ale „Kicię” trzeba ratować. Może nawet nie tyle dla klubu, ile dla niego samego, dla jego talentu. Na Śląsku wraz z „Epim” i Ernestem znowu mógłby popaść w złe towarzystwo...

Brychczy pozostał w Legii i jest w niej do dziś. Ponad pięćdziesiąt lat! Kempny grał jeszcze rok, a Mahselli do końca kariery. Ostatecznie odeszli tylko: Szymkowiak, o którego na Śląsku walczyły trzy kluby oraz Kowal i Pohl. „Szymka” zastąpił Bem, natomiast Kowala i Pohla Stefan Żmudzki i Mieczysław Kruk. Niezłi piłkarze, ale skala ich talentu była znacznie mniejsza. W Zabrze zapanowała radość z pozyskania niedawnych tuzów Legii. Teraz w napadzie Górnika będzie pięciu reprezentantów Polski: Pohl, Kowal, Jankowski, Lentner i Wiśniowski. Rezerwa też mistrzowska: Fojcik, Czech, Szalecki i... Gawlik.

Na pierwsze treningi Górnika z różnych stron Śląska, głównie z Bobrka rodzinnej miejscowości Kowala i Pohla z Rudy Śląskiej, ciągnęły do Zabrze pielgrzymki wiernych futbolowi, niczym wyznawcy Mahometa do Mekki. Wzmocnieniem dla „kombajnu z Zabrze” okazało się również zatrudnienie węgierskiego trenera, Zsoltana Opaty. To ten sam, który w roku 1924 na Olimpiadzie w Paryżu w meczu Węgry – Polska 5:0, zdobył dla zwycięzców dwie bramki. Trener i jego piłkarze nie zawiedli. Rok 1957 był udaną zapowiedzią długiej historii sukcesów Górnika w rozgrywkach ligowych i o Puchar Polski.

Ten pierwszy tytuł spadł na Zabrze niemal jak gwiazdka z nieba. Na Śląsku wyżej ceniono Ruch, w Warszawie nadal stawiano na Legię, dobrze grał ŁKS. Jednak największym faworytem była Gwardia. W pewnej fazie rozgrywek „harpagony” miały już 8 punktów przewagi nad „górnikami” przez złośliwców nazywanych też „Rycerzami wielkanocnego stołu”. To ze względu na skłonności za-

brzan do biesiadowania. Mieli mocne głowy, zdrowe organizmy, więc te uciechy rzadko kiedy im szkodziły. Raz tylko w trzeciej kolejce rundy wiosennej słabości te obnażył ŁKS. Co ciekawe, stało się to w Zabrze i gdy łodzianie grali w „dziesiątkę”. Mimo to rozgromili rywala aż 5:1. Cztery gole zdobył Stanisław Baran, a piątego Władysław Soporek.

## KRÓL „RYCERZY WIOSNY”

Ten sensacyjny wynik zszokował redakcję. Jak to możliwe? W tym właśnie tkwi cały urok piłki nożnej, jej ogromny ładunek emocji, nieobliczalności, zaskoczenia. Ale czy aż do tego stopnia? Niedziela 7 kwietnia 1957 roku przejdzie do historii naszej ligi. W tym dniu niespodzianek było więcej, między innymi Legia przegrała z Lechią Gdańsk 0:1. To jednak nie ta skala przeżyć co w Zabrzu. Red. Zmarzlik, wielki fan Zagłębia Sosnowiec, za innymi ligowcami nie przepadał, ale wyczyn ŁKS i na nim wywarł ogromne wrażenie.

– Grzesiu! – z podniesionym głosem wpadł do pokoju redakcyjnych piłkarzy. – Mam już super tytuł do wiktorii łodzian w Zabrzu: – **Panowie, kapelusze z głów! Tak grają „Rycerze Wiosny!”**. A ty Juruś – zwrócił się do mnie – jutro z samego rana jedź do Łodzi. Pamiętaj, pozdrów Staszka Barana. To mój rówieśnik!... A wciąż strzela bramki. Ma prawie czterdziestkę na karku. Ligowy Matuzalem...

Do Łodzi jeździłem dość często i chętnie, bo zawsze coś mnie do tego miasta ciągnęło: przyjaciele, dobrzy dziennikarze i piłkarze, serdeczność kibiców. Rodowód mam warszawski, ale sporo lat mieszkałem w Skierniewicach, dokładnie w połowie drogi ze stolicy do Łodzi. Sympatie starałem dzielić po równo. W latach licealnych nieco częściej jeździłem na mecze do Warszawy, ale ŁKS też był mi bliski. Zaraz po wojnie podziwiałem grę nieustępliwego rutyniarza, Wacława

Pegzy. Wzrostem nie mógł zaimponować, ale doświadczenie i zmysł taktyczny miał niecodzienny. Później słynne trio bombardierów Baran – Hogendorf – Łącz pobudzało sportową wyobraźnię. W gimnazjum „Prusa” recytowaliśmy o nich nieudolne, ale w treści szczerze wierszyki: – *Ach te Łącze, Hogendorfy i Barany! Ten nasz napad ukochany!*...

Na mecz ŁKS z Rapidem Wiedeń niegdyś bastionem austriackiego „Wunderteamu”, drużyny słynącej ze „zwycięskiego ostatniego kwadransa”, namówiłem nawet redaktora naczelnego. Jechałem samochodem jak panisko. Była feta, „Rycerze Wiosny” wygrali 2:1 i to oni, a nie goście byli lepsi na finiszu. Wcześniej nie udało się to ani Ruchowi, ani Wiśle Kraków. Po tej wiktorii „chłopców Władysława Króla” (mecz odbył się środkiem tygodnia) kibice radośnie wyrażali swoje uczucia i plany na weekend:

A w niedzielę, z tą piosenką

Pójdę sobie na spacer z panienką.

Tak beztrosko, tak bez celu.

Przez Piotrkowską na wprost „Grand Hotelu”...

Wkrótce znowu wybrałem się do Łodzi, tym razem na „mecz prawdy” ŁKS – Gwardia. „Rycerze Wiosny” kontra „Harpagony”! Warszawiacy długo byli niemal murowanym kandydatem do tytułu mistrza ligi. Pretendent jednak się potknął, natomiast ŁKS znowu błysnął. Wykazał „łódzki charakter”, czym dwadzieścia lat później imponował Widzew. Do przerwy strzał Jana Gawrońskiego dał Gwardii prowadzenie 1:0. Nic to, łodzianie w drugiej połowie jeszcze bardziej zwarli szeregi i wygrali 2:1. I znowu, tak jak z Rapidem, bramkę decydującą o zwycięstwie zdobył Baran. Trenerem ŁKS był Władysław Król, autentyczny przywódca „Rycerzy Wiosny”, ale wcale się tym nie zachłystywał. Uważał, że prawdziwym KRÓLEM Łodzi, Piotrowskiej i Grand Hotelu jest Stanisław Baran.



Było to ulubione miejsce spotkań piłkarzy, działaczy, kibiców i dziennikarzy. Uważano tamtejszą kawiarnię i restaurację Grand Hotel za wymarzony kącik do dyskusji o futbolu i ukochanym klubie. W reprezentacyjnej sali „Malinowa” do rozmów na tematy piłkarskie włączali się nawet kelnerzy. Goście niekiedy psioczyli, że za długo czekają na posiłki, często, że otrzymują już chłodnawę, ale kiedy ganiony kelner uprzejmię się skłonił i szepnął do ucha: – Sorry, dziś znowu ŁKS wygrał, każdy wybaczał. Znany aktor, głównie z przedwojennych komedii – Władysław Walter, prosił wtedy o szczegóły. Pytał ile było i kto strzelił gole.

Po meczu ŁKS – Gwardia i ja pojawiłem się w Grandzie, choć w dużej mierze z konieczności. Z winy poczty aż 90 minut czekałem na telefoniczne połączenie z redakcją. Sprawozdanie nadałem, ale uciekł mi ostatni pociąg do Warszawy. W „Malinowej” najpierw do śledzika w śmietanie zamówiłem „pięćdziesiątkę”, a potem strogonowa i piwo. ŁKS-iacy już dawno byli po kolacji, teraz tańczyli i śpiewali. Do mojego stolika przysiedli się Henio „Burza” Szczepański i właśnie Stanisław Baran. Zamówili „kolejkę” i gadu, gadu o lidze.

– Będziemy mistrzem Polski! – zapewniał Szczepański

– Heniusz – tonował „Burzę” Staszek – to nie będzie takie proste. Fakt, Gwardię opuściło szczęście, ale... to dobra, dynamicznie grająca drużyna...

Orkiestra odpoczywała po odegraniu bardzo wtedy popularnego tanga „Siwy włos”. Wykorzystał to „Burza”, usiadł przy fortepianie, uderzył w klawisze, przechylił głowę w kierunku Barana i zaintonował:

Que cera, cera...

Co będzie pokaże czas...

Sala to podchwyciła, Staszek i ja również. Baran lubił i umiał śpiewać, a ja jeszcze nie zapomniałem grać na akordeonie. Żadnemu z nas słoń nie nadepnął na ucho. Reporterska żyłka wzięła jednak górę nad zabawą. „Przegląd Sportowy”

wprowadził niedawno rubrykę „**Gdy po ligowej niedzieli przychodzi poniedziałek**”. Trzeba wykorzystać to spotkanie w Grandzie. Będzie gratka dla czytelników...

– A co myśli pan o składzie na mecz z ZSSR – znienacka zapytałem Barana. – Nasi korespondenci z całej Polski sugerują, aby łódzki lider znowu zagrał w reprezentacji...

– Prywatnie mogę redaktorowi powiedzieć, że w obecnej reprezentacji zmian nie wymagają jedynie dwie pozycje. Reszta jest milczeniem... Ja? Z ruskimi chętnie bym zagrał, ale aż tak wygórowanych ambicji mieć nie mogę. Za słaba kondycja... Tylko pod bramką nadal wiem, co z piłką zrobić.

Zabawa trwała. Poprosiłem orkiestrę o moje ulubione tango „Powróćmy jak za dawnych lat”. W „Manewrach miłosnych” niezapomniany duet Tola Mankiewiczówka – Aleksander Żabczyński pokrzepiał zakłopotane serca: – *I w życiu może zdarzyć się cudowna baśń...* Potem było tango „Milonga” Jerzego Petersburskiego, jedno z czternastu najpopularniejszych na świecie, przebój Mariniego „Nie płacz, kiedy odjadę”, tuwimowska „Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic” i tuż przed świtem, już na pożegnanie marsz z filmu „Most na rzece Kwai...”. Kilka godzin później wszystko to opisałem w „PS” i zatytułowałem „**Ze Staszkiem Baranem w Malinowej do białego rana**”.

Podobno szczęście sprzyja lepszym. Ale czy w sezonie 1957 wtedy jeszcze mało doświadczony Górnik był rzeczywiście lepszy od Gwardii, ŁKS i Legii? Szczęście jednak miał. Najbliżej tytułu była Gwardia, ale przegrała mistrzostwo na własne życzenie. W Warszawie, na Stadionie Dziesięciolecia, gdzie czuła się najlepiej, dosłownie na finiszu rozgrywek uległa Lechowi Poznań 0:1. Jeszcze raz dał o sobie znać Teodor Anioła. Miał już trzydziestkę na karku, ale nadal dynamit w nogach. Mógł przebierać w klubach, jednak Lecha nigdy nie zdradził. Zdobył bramkę li tylko pocieszenia – Lech i tak spadł z I ligi. A o Gwardii z przekąsem napisaliśmy „Najlepiej grała orkiestra...”

W Gwardii więc żałoba, a w Górniku niecodzienne święto. Kropkę nad „i” postawili zabrzanie w ostatnim meczu ligowym z Odrą Opole. Wynik 8:1 pokazał, co naprawdę wart jest nowy mistrz. Po tej wiktorii w zabrzańskim hotelu „Prezydent” przy kawie i małym koniaczku rozmawiałem z trenerem Opatą. Był wniebowzięty. Chwalił piłkarzy i był dumny z siebie.

Pohl? Prawdziwy strzelec wyborowy! To, co naprawdę potrafi, pokazał właśnie w meczu z Odrą Opole. Strzelił cztery z ośmiu zwycięskich bramek. Nie mogę pojąć, dlaczego nie zagrał w meczach ze Związkiem Radzieckim.

W Zabrze cieszą się z daru niebios, natomiast w Warszawie, Sosnowcu, Bytomiu i Chorzowie pomstowano na zły los. Zwłaszcza na Śląsku tyle sobie obiecywano, a tu kłapa na całej linii. Byłem tam zaraz na początku stycznia 1957 roku. W Zagłębiu miny markotne. Szymkowiak, któremu już przewieziono meble do ładnego mieszkania nad Brynicą, ostatecznie wyładował w Bytomiu. W Chorzowie poinformowano, że „Ruch montuje atomową jedenastkę”. To też były plany na wyrost. Fakt, z Legii wrócił Mieczysław Siekiera (Siemierski), z Kolejarza Katowice pozyskano Prutka, autentycznego kelnera z restauracji „Monopol”, ale już z transferu Józefa Gałeczki wyszły nici. Chybione okazały się również zapowiedzi o powrocie Edwarda Szymkowiaka.

Pierwsze „zmiany barw” (to określenie zastępowało trudne do strawienia słowo „transfer”) były kłopotliwe. Tu i ówdzie przypominały międzywojenne kapernictwo lub do niedawna powszechnie potępianą samowolę klubów wojskowych. O ile jednak w Warszawie powoli zaczęto wyczuwać klimat nowych czasów, o tyle w Krakowie, ściślej mówiąc w tamtejszym OWKS, jeszcze nie dostrzeżono, że podważona została wszechpotęga klubów w zielonych mundurach. Podczas pobytu na Śląsku natknąłem się na głośny wówczas „casus Gajda”. Dokładnie 1 lutego 1957 roku przelałem to na papier. W mini-farsie pt. „**Oto jak**

się kaperuje” w kilku odsłonach przedstawiłem nie malejące umiłowanie klubów wojskowych do praktyk z epoki SPN GKKF:

... „Do rodzinnych Lipin wrócił z wojska smukły, o blond włosach środkowy napastnik Norbert Gajda, Wrócił, ale... tylko na miesiąc. Dlaczego? Krakowski OWKS zastosował wobec młodego piłkarza wypróbowaną metodę sprzed „października”. Wbrew woli Gajdy, przedłużył mu służbę wojskową jeszcze na jeden rok. A było to tak:

**Kapitan Dwernicki** (OWKS): Gajda nie musi wracać do Lipin. Jest nam potrzebny. Damy Norbertowi w OWKS takie warunki, że będzie mógł pomóc ojcu i nim się opiekować. Bez Norberta mogła by się rozpaść nasza drużyna.

**Gajda** (Ojciec): – Sprzeciwiam się, ja chcę mieć syna w domu!

**Dwernicki**: – Sam kiedyś powiedział, że chce grać w Krakowie...

**Gajda** (syn): – Ale skądże! Już wam raz mówiłem, że chcę wracać do Lipin.

**Dwernicki**: – W takim razie piszcie podanie do Warszawy. Zresztą, panie Gajda, po co tyle zachodu. Chodzi panu o pieniądze, kurację... To się da załatwić. Dobra pensja, mieszkanie, sprowadzimy narzeczoną, będzie pracować u krawcowej...

**Gajda** (ojciec): – Dziękuję... żadnych obietnic nie przyjmuję. Miejsce syna jest w Naprzodzie...

W całości przeczytał to ppłk. Tadeusz Przyłipiak wówczas „szara eminencja w Legii. Zadzwonił do redakcji:

– To nie tak! Po co pisać do Warszawy?... My nie mamy z tym nic wspólnego. Przecież postanowiliśmy, że w przyszłości każdy wojskowy klub sportowy, nawet centralny będzie bazował na własnych wychowankach. W Krakowie już powinni o tym wiedzieć.

Jak zapewnienie Gajdy seniora i oświadczenie Przyłipiaka miały się do rzeczywistości? Przez jakiś czas Norbert rzeczywiście grał w Lipinach, ale Napród

nie był w stanie nawet w części zapewnić mu takich warunków, o jakich bajdurzył kapitan Dwernicki. Życie wymusiło sprzeniewierzenie się deklaracji o przywiązaniu do rodzinnego domu i umiłowaniu barw klubowych. Wkrótce Gajda junior przeniósł się do Odry Opole, skąd przebił się do reprezentacji Polski. Jeden z masowo wtedy ginących talentów został uratowany.

Zagłębie zabolowały nie tylko nieudane transfery. Od momentu awansu piłkarzy do I ligi praktycznie nie liczone tam z pieniędzmi. Szastano forszą na lewo i prawo. W styczniu zabrakło jednak złotych na pozyskanie Edwarda Szymkowiaka. Kto się dobrał do kasy? Reaktywowano Zagłębiowski Okręgowy Związek Piłki Nożnej. Nad Brynicą było to teraz najważniejsze – wyrwano się wreszcie spod niewygodnej kurateli Śląska. Już we własnym domu zaczęto urzędowanie od robienia porządków w klubach. Na pierwszy ogień poszedł pupil Sosnowca. I wybuchła bomba: – Ogromny deficyt w kasie Stali! – pisano w śląskiej prasie.

Po przyjeździe do Warszawy tymi szokującymi informacjami podzieliłem się przede wszystkim z zastępcą naczelnego, Jerzym Zmarzlikiem.

– Co robić? – niepewnie zapytałem. – Opisać to wszystko?

– Oczywiście! W Sosnowcu nie mają nic do ukrycia.

– Czy aby na pewno?. Własny komentarz do tej sprawy podbudowałem fragmentem klubowego sprawozdania:

...„Potrafiono znaleźć pieniądze na motocykle, wyjazdy zawodników z żonami na obozy i mecze, ale nie zdołano zapewnić młodzieży podstawowych środków dla rozwoju klubowego współżycia i koleżeństwa, nie mówiąc już o szkoleniu własnego narybku!”

Pytano, kto ponosi za to winę? Nie było takiego... Dopiero jeden z dyskutantów powiedział z rozbijającą szczerością: – „Ogromny dług obciąża wszystkich członków koła”. Wszystkich? Czyli nikogo... W czasach „przed październikowych” takie formy gospodarowania majątkiem społecznym były zjawiskiem

nagminnym. Samokrytyka też bezosobowa. W wielu klubach wydatki na szkolenie i właściwe wychowanie młodzieży często były mniejsze, niż na prezentację klubu na zewnątrz, zachcianki zawodników i kaprysy ich żon. Takie typowe, nasze starosarmackie „zastaw się, a pokaż się”. Ale za społeczne pieniądze! System temu sprzyjał.

Po Walnym Zgromadzeniu PZPN w lutym 1957 roku już demokratycznie wybrane władze Związku, za jedno ze swoich priorytetowych zadań uznały przeprowadzenie w klubach kontroli nie tylko pod kątem organizacji i szkolenia, ale również gospodarki finansowej. Bez widocznych rezultatów. Działalność reaktywowanego PZPN też nie była cacy. Zresztą, sielanki nikt nie oczekiwał, wciąż obowiązywały rygory totalitarne. Nadal przewagę mieli ci silniejsi i sprytniejsi. Slogany o demokracji, sprawiedliwości i polityce „równych szans” umiejętnie wykorzystywali ci już z ugruntowaną pozycją w futbolu i cieszący się poparciem władzy. Słabszy nie miał racji. W pozjazdowych migawkach „**Obserwator z zielonej trybuny**” pisałem w „PS”:

... „Bardzo poważną siłę stanowił blok czterech: Śląsk – Kraków – Poznań – Warszawa. Te cztery okręgi przeforsowały projekt o 24-drużynowej II lidze. Dlaczego? – pytacie. Warszawie chodzi o Marymont i Bzurę Chodaków, Śląskowi o Piasta Gliwice i Concordię Knurów, Krakowowi o Włókniarza Chełmek, a Poznaniowi o zdegradowane do III ligi Wartę i Start Kalisz”.

Nawet zazwyczaj pryncypialny i czysty moralnie aż do bólu były sędzia piłkarski, wtedy prominentny działacz z Radomia, Kazimierz Bukowski też usiłował ubić w Warszawie własny interes. Walczył o utworzenie w Radomiu autonomicznego podokręgu. Wniósł przy tym, jak zwykle, gdy przemawiał, nieco humoru:

– Widzicie przyjaciele – powiedział – ja tu dziś siedzę w Warszawie i walczę o sprawy mojego miasta, zamiast być na ślubie córki. I co?... Mam wracać w rodzinne strony bez zwycięstwa?...

Wrócił przegrany. W czasie głosowania z „bloku czterech” wyrwała się Warszawa, by dać szansę powszechnie lubianemu Kaziowi, ale do tria Katowice – Kraków – Poznań dołączył Wrocław i wniosek Bukowskiego przepadł. Argument „ślub córki” był niewątpliwie zabawny, ale niewystarczający. Koalicja „dużych miast” zafundowała nam – na owe czasy – karykaturalnie rozbudowaną II ligę. W „Przeglądzie Sportowym” skomentowaliśmy to jednoznacznie **„NI PIES, NI WYDRA czyli o dwóch grupach II ligi”**. Z takimi dziwołagami przyszło nam walczyć jeszcze nie raz...

Cieszyć mogła tylko zapowiedź zracjonalizowania i zintensyfikowania pracy z młodzieżą. W czasie wakacji 1956 odbyło się zgrupowanie centralne dla ponad 300 juniorów, 80 z nich w październiku przeszło kolejny egzamin w Warszawie. Potem wszyscy byli na meczu Polska – Norwegia, bardzo ważnym, bo po przegranych z NRD, Węgrami i Bułgarią wreszcie zwycięskim 5:3. Chłopcy na własne oczy zobaczyli, że i Polacy potrafią zwyciężać. Szymkowiak, Pohl, Kempny, Baszkiewicz, Korynt, Woźniak, Zientara...Przeżyłem wtedy z juniorami na Stadionie Dziesięciolecia 90 minut radości. I jeszcze jedno! Bodaj po raz pierwszy od 10 lat na stadionie sportowym z magnetofonów wydobywały się melodie i słowa pieśni legionowych o rozmarynie, wojence, ułanach, kasztance, komen-dancie... To już rzeczywiście przysła odwilż!

Juniorzy przez dwa dni, poprzedzające mecz Polska – Norwegia, grali na Legii. Czterdziestu najbardziej obiecujących, a wśród nich: Jerzego Józwiaka, Józefa Gałeczkę, Antoniego Nierobę i Eugeniusza Fabera trener Górski aż do wiosny 1957 poddawał – jak to lapidarnie określał – dalszej szlifierce. Najlepsi pojechali na kolejny turniej UEFA do Hiszpanii. Szefem ekipy został red. Tadeusz Grabowski, wiceprezes PZPN. Przed wyjazdem na Półwysep Iberyjski przewodniczący sekcji młodzieżowej Wiesław Motoczyński (też w randze wiceprezesa), powszechnie zwany wtedy „profesorem”, skłonił autentycznego profesora Jerzego

Lotha znanego geografa, wykładowcę SGPiS, członka Polskiego i Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego do wygłoszenia dla chłopców wykładu o burzliwej historii i współczesnym życiu Hiszpanii.

Profesor Loth piękną polszczyzną i przy pomocy map, plansz i przeróżnych eksponatów przystępnie przybliżył naszym juniorom dzieje gospodarki i obyczaje mieszkańców Andaluzji, Katalonii, kraju Basków oraz Wysp Kanaryjskich. Przypomniał, że Adam Mickiewicz w poemacie „Konrad Wallenrod” opisał dramatycznie wydarzenia z XVI wieku w paśmie górskim Alpuhara. Mówił też o wojnie domowej w Hiszpanii w latach 1936 – 1939, będącej dla Ernesta Hemingwaya inspiracją do napisania powieści „Komu bije dzwon”! Zachęcał do zwiedzenia Madrytu i dawnej stolicy kraju – Toledo. Są tam liczne muzea i mauretańskie zabytki, oślepiająca blaskiem złota katedra i książęcy zamek obronny – Alkazar.

Tylko jedno zwycięstwo nad Węgrami, remis z RFN i przegrana z Hiszpanią – to sportowy bilans startu naszych juniorów na Półwyspie Iberyjskim. Sporą wydarzeń „od kuchni” przekazali do kraju trener Kazimierz Górski i Wiesław Motoczyński. „Motorka” też znałem już od kilku ładnych lat głównie ze wspólnego przebywania przy stole... bilardowym. Grał dobrze, ale ze mną – zwłaszcza w „amerykankę” – z reguły przegrywał. Tu nie było dla mnie mocnych. „Pod Arkadami” i w „Smoczej Jamie” w tej specjalności uchodziłem za „strzelca alpejskiego”. Potrafiłem „ugrać partię od kija”. Uczyłem się tego niemalże od dziecka, w cukierni rodziców mojego kolegi ze szkolnej ławki. W „piramidkę”, gdzie u „Motorka” decydującą rolę odgrywał ścisły umysł matematyczno-fizyczny, a więc i fantastyczna, precyzyjna taktyka, miałem już kłopoty. Był bardziej doświadczony. Była to jednak dobra szkoła myślenia i „czytania gry”. Później bardzo mi się to przydało w opisywaniu zawodów piłkarskich.

Grywaliśmy do późnej nocy. Motoczyński mieszkał poza Warszawą, często więc nie miał już powrotu do domu. Sypiał wówczas w siedzibie PZPN przy



Alejach Ujazdowskich 22, najczęściej w fotelu prezesa Stefana Glinki. Otóż „Motorek” (ja zgody na wyjazd do Hiszpanii nie otrzymałem niejako już tradycyjnie z „powodu braku dewiz” w RSW Prasa), poza niezbędną dokumentacją i programem zawodów, przywiózł mi z Madrytu tomik poezji Józefa Łobodowskiego. W Polsce był to wtedy człowiek mało znany, więcej – zakazany. Krajowi „encyklopedyści” na jego temat również milczeli, wszak w opinii totalitarnych władz był li tylko „emigracyjnym karłem”. Krytykował socjalizm na falach Radia Madryt.

## UCZTA ZADŻUMIONYCH

Po „październiku” nastąpiła lekka odwilż i na tym odcinku. Była już wiosna 1957, ale nadzieje i emocje z jesieni 1956 wciąż były żywe. Nieco stopniały także lody nieufności emigrantów do przybyszów z kraju. Dość liczna polonia hiszpańska zerwała „żelazną kurtynę” i gorąco dopingowała młodych polskich piłkarzy. A wieczorami?... Kierownictwo naszej skromnej ekipy przy dobrym winie hiszpańskim lub koniaku spotykało się nawet z hrabią Potockim (sic!), polskim księdzem z tamtejszej polskiej parafii i właśnie z poetą Łobodowskim. Imponował okazjonalnymi rymami w czasie tych nocnych rozmów rodaków, recytował też fragmenty swojego najgłośniejszego utworu „**Ucztę zadżumionych**”:

Polsze Lwow my atabrali  
 Niemcom mordu rozszybli  
 I Budapiest abasrali...  
 Ej ty, Czerkił stariczok  
 Kudy kotuszsia?  
 Popadiosz w NKWD  
 Nie warotiszsia!

Tryskał humorem. Krajowcy po tych recytacjach i upolitycznionych improwizacjach mieli nietęgę minę, bo jeszcze nie przywykli do „wolnego świata” i tak luźnego obcowania. Bystry poeta-obszrewator dobrze jednak wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. Tonował popisy, co wcześniej rzadko mu się zdarzało. Zaskoczył hrabiego Potockiego. Wolno wstał z krzesła i pojednawczo wznosił w górę, a pił często i dużo, szklankę z „Veterano”:

– Zgoda, bez polityki! Wznoszę więc toast... za odbudowę Kremla...

– Jak to – za odbudowę? – nieśmiało zapytali „nasi”. – Przecież Kreml stoi i jest cały?!

– No właśnie! – spuentował swój wywód Łobodowski. – Żeby Kreml odbudować, trzeba najpierw zburzyć...

Pierwsze Walne Zgromadzenie odrodzonego PZPN, podjęcie tematyki statusu piłkarza (amator czy zawodowiec?), interesująca batalia ligowa i nagła śmierć rozgrywek o Puchar Polski, wreszcie ciekawostki z wyprawy juniorów na turniej UEFA do Hiszpanii... W pierwszej połowie 1957 roku była to niezła strawa dla sympatyków piłkarstwa. Uczestniczyłem w większości tych wydarzeń, ale żadne z nich nie wywarło takiego wrażenia jak ambitna walka o finały mistrzostw świata w Szwecji. Łza się w oku zakręciła... Po dwudziestu latach przymusowej izolacji „biało-czerwoni” znowu na wielkiej piłkarskiej arenie.

W pierwszych powojennych eliminacjach los przydzielił nam reprezentacje Finlandii i ZSRR. Potentat i outsider. Synowie Północy byli w tym towarzystwie od początku typowym Kopciuszkiem. Z nami już w roku 1947 przegrali 1:4, a w 1956 aż 0:5. Co innego „sborna” Kaczalina – mistrz olimpijski z Melbourne! Maryla Rodowicz podczas Weltmeisterschaft 1974 śpiewała „albo my wygramy albo oni”. Prawdę tę znaliśmy od dawna, ale dopiero w roku 1957 nabrała szczególnego znaczenia. Nadarzyła się bowiem okazja utarcia nosa „starszemu bratu”. Nikt nie pękał. Mocno tkwiły w pamięci nasze sukcesy w towarzyskich starciach z pił-

karzami ZSRR na początku lat pięćdziesiątych. Dlaczego teraz miało by być inaczej? Wciąż gra Cieślik i strzela bramki. Sowieci boją się go jak ognia!...

Jestem jednym z tych nielicznych szczęśliwców (a może pechowców), którzy na własne oczy oglądali wszystkie trzy mecze z ZSRR o punkty mistrzostw świata, najpierw ten w Moskwie, potem w Chorzowie, wreszcie w Lipsku. Na pierwszy mecz do Moskwy, a był to mój debiut zagraniczny, leciałem nafaszerowany metafizyką i właśnie cudownymi wydarzeniami z niedawnej przeszłości. Wygrywaliśmy z „ruskimi”. Satysfakcja przeplatała się jednak z obawami. Kalkulowałem: rywale ostatnio w Moskwie tylko zremisowali z Rumunią, w przeszłości nasza gra rywalom wyraźnie „nie leżała”, ale przecież to mistrz olimpijski z Melbourne. A może jednak na Łużnikach będę świadkiem „wielkiego dnia” polskiego piłkarstwa...

Wyfrunąłem z Warszawy Iłem – 14. Przy dzisiejszych powietrznych fortecach taki sobie samolocik, z reguły rzucało nim pod każdą szerokością geograficzną. Międzylądowanie w Wilnie. W portowej restauracji po raz pierwszy w czasie tej podróży ścierpła na mnie skóra. Podchodzi do stolika kelner i pyta śpiewnym, ale wyjątkowo cichym głosem:

– Pan z Polski? Z Warszawy?

– Tak – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Cieszę się kochanieńki, oj bardzo się cieszę, że znowu spotykam rodaka. Ja tutejszy, Wilniuk. Mogę z panem porozmawiać? Ostrożnie, cichuteńko... Po polsku...

– Słucham?... O co chodzi?...

– Czy to prawda, że w Polsce zerwano z kultem jednostki, a Gomułka potępił stalinizm?...

– Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Może to prowokator?...

Kelner przyjął zamówienie, a gdy wrócił do stolika znowu szeptał do mojego ucha:

– Coś niecoś słyshałem, tak piąte przez dziesiąte... Podobno w październiku zeszłego roku Gomułka niezle przygadał Chruszczowowi:

Ja Władysław, ty Nikita.

Między nami jest już kwita.

Żyj nam długo, jak nasz Solski.

Ale odczep się od Polski...

W Moskwie, na szczęście, czekał na mnie przedstawiciel redakcji „Sowiecki Sport”, Otkalenko, mąż słynnej wtedy biegaczki na średnich dystansach, a nie agent ze służb specjalnych. Taksówką podwiózł do hotelu „Leningrad”, to w bliskim sąsiedztwie Placu Czerwonego i... zaprosił na obiad. Zapytał czy piję?...

– Nieczęsto – odpowiedziałem – zdrowie nie pozwala. Boli mnie kręgosłup... Lekarze zabronili...

Otkalenko skinął na kelnera i złożył zamówienie:

– Wódki dziś tylko pół litra, bo mój gość jest chory.

Polska nie była w tym meczu faworytem. Rywal w ostatnich pięciu latach, jakie dzieliły go od niezbyt udanego debiutu olimpijskiego w Helsinkach, poczynił ogromne postępy. Ma na rozkładzie drużynę NRF, mistrza świata z 1954 roku i w dorobku złoty medal olimpijski. Tu i ówdzie sądzono nawet, że piłkarze ZSRR w 1958 roku w Szwecji będą taką samą rewelacją, jak w 1954 hokeiści ze słynnym Wiaczesławem Bobrowem. Wtedy to aż 7:2 wygrali z Kanadą. Tymczasem w naszej drużynie pogłębiły się kłopoty personalne. Marudzili obrońca Mahselli i napastnik Pohl. Ernest stwierdził, że źle się czuje i... odmówił wyjścia na boisko.

W eksperymentalnym składzie i z księżycową taktyką przegraliśmy to spotkanie 0:3. W tym dniu w Moskwie przez cały dzień lało jak z cebra. Na rozmokłym i grząskim boisku swobodniej czuli się lepiej wyszkoleni gospodarze.